MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 26 WARSZAWA, 27 CZERWCA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

W ROCZNICĘ

DNIA 22 czerwca upłynęło 15 lat od wkroczenia wojsk polskich do odzyskanej części Górnego Śląska i z tego powodu urządzono w pogranicznej wsi Piekary uroczyste obchodzenie tej radosnej pamiątki. Ale przeniesienie się myślą tylko o piętnaście lat wstecz i przywołanie wspomnienia chwili realizowania zwycięstwa, odniesionego po długiej i uporczywej walce, nie wystarcza do wyciągnięcia wniosków i wskazówek na przyszłość, a przecież po za zaspokojeniem sentymentu taki powinien być sens głębszy wielkiej rocznicy.

Trzeba wrócić do dalszych wspomnień. Przejdźmy się po ulicach Wrocławia, odczytajmy napisy na sarkofagach w tamtejszych kościołach, przysłuchajmy się brzmieniu nazw wsi podmiejskich, kończących się na „witz", odwiedźmy Świdnicę, przypomnijmy sobie, że spokojne dziś miasteczko o dziwacznej dla Niemca nazwie „Nymtsch" to słynny gród warowny Bolesławowskich czasów, Niemcza. Spójrzmy na widok ze szczytu Sobótki (dziś „Zobten"), gdzie stał ongi kościół i klasztor, fundowany przez Piotra Własta, palatyna Krzywoustego — a przekonamy się ileśmy w tej krainie stracili, według wszelkiej ludzkiej rachuby bezpowrotnie.

Ale to przecież nie wszystko. I na tym obszarze, który odzyskaliśmy nie wiele bodaj brakowało, żeby tylko słowiańsko brzmiąca nazwa jakiejś miejscowości świadczyła o polskiej przeszłości kraju. Oto świadectwa z przed lat zaledwie czterdziestu paru. Oto co pisał Wojciech Korfanty o ks. Al. Skowrońskim (cyt. według rozprawy E. Szramka „Ks. Aleksander Skowroński" w Rocznikach Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku, t. V, Katowice 1936). „Jako młody chłopiec podziwiałem złotowłosego, przystojnego młodzieńca, idącego w towarzystwie starszego brata, ś. p. Leopolda, w stronę Małej Dąbrówki. Bawiąc się z rówieśnikami, przystawaliśmy, szepcąc sobie: to akademik z Wrocławia, a ten drugi to jego brat, doktór i wielki uczony; a obydwaj mówią między sobą po polsku i to tak jakoś pięknie po polsku. — Było to dla nas rzeczą nie do uwierzenia, że „panowie" mogą mówić po polsku. Tego jeszcze nikt we wsi nie widział i nie słyszał; samo przez się rozumiało się, że „pan" mówi po niemiecku: Głęboko się ludzie nad tym zastanawiali, dlaczego ci dwaj Skowrońscy, choć wyszli na panów, mówią po polsku".

A dalej: „Jako uczeń wyższej klasy gimnazjalnej razem z drugim kolegą odwiedziliśmy w Król. Hucie ks. wikarego Skowrońskiego. Założyliśmy wtedy tajne kółko polskie w gimnazjum katowickim. Było nas tylko siedmiu, aczkolwiek blisko połowa uczniow była pochodzenia polskiego. Męczyła nas myśl, jak zbudzić w nich uśpioną duszę polską i jak pozyskać ich dla polskości. Długie godziny spędzaliśmy w pokoiku szczytowym jednego z kolegów na odludnym przedmieściu, radząc nad sposobami zbliżenia się do naszych nieuświadomionych kolegów. Próby zainteresowania ich naszą wielką tajemnicą, różne sposoby podchodzenia do nich napotykały na trudności wprost nie do pokonania. Trzeba było zachować nadzwyczajną ostrożność, bo każdy z nas wiedział, że w razie zdradzenia się groziło nam wydalenie ze szkoły i zamknięcie przed nami wszelkich uczelni w Prusiech. A i w wewnętrznym życiu naszego kółka mieliśmy do zwalczania trudności niemałe.

Książek polskich mieliśmy nie wiele i niewiedzieliśmy skąd je wziąć i jakie wybrać. Wszak czytywaliśmy książkę polską przeważnie przy pomocy słownika polsko-niemieckiego, bo zasób naszych słów polskich był nader szczupły. W owych kłopotach udawaliśmy się do ks. Skowrońskiego. Ks. wikary wyprowadził nas dla swobod-

nej rozmowy do jakiegoś ogródka restauracyjnego w części miasta, zwanej wówczas „Kalina”. Był to dzień powszedni i byliśmy sami. Młody wikary zaczął nam mówić wtedy o Polsce, jako o rzeczy wzniosłej, nieomal świętej, dla której trzeba ponosić wielkie ofiary... Oczy błyszczały nam, serca się rozgrzewały pod wpływem słów pełnych wiary, że Polska będzie, a my wszyscy ją budować musimy...”

Tak oto minęło zaledwie dopiero czterdzieści lat od czasu gdy polskość na Śląsku zapędzona była do ubogich „izdebek szczytowych” gdzie z trudem zdobytą książkę polską czytano przy pomocy słownika niemieckiego. Trzeba dobrze się wsłuchać w wymowę tego świadectwa.

Na szczęście żar narodowy tlił się żywo pod zewnętrzną skorupą i rozdmuchiwany przez mieszkańców tych izdebek wybuchnął niebawem jasnym płomieniem. Przyszedł potem kataklizm dziejowy i oto piętnaście lat temu wojska zmartwychwstałej Polski wkroczyły na Śląsk; wrócił do Polski skrawek obszernej dzielnicy, drobna część tego, czym władała przed 800 laty.

Czy jednak proces dziejowy u tej ściany Rzeczypospolitej jest skończony, czy napór z zachodu osłabł, a czy stosunek sił jest dziś dla nas korzystniejszy, niż np. za czasów Jagiellonów, kiedy usiłowania odzyskania straconego nie odnosiły skutku?

Czy może kto powiedzieć twierdząco na takie pytania? A skoro nie, skoro jest to nadal, tak jak i przed dziesięciu wiekami pole walki, w której tyle już straciliśmy, to czyż może być po naszej stronie coś bardziej naturalnego i zbawczego, jak wyrzeczenie się polityki marnotrawienia sił narodowych, na jaką niestety już tak długo patrzymy.

Marnotrawstwo to tak bije w oczy, impas tak oczywisty, że ślepi zaczynają przejrzewać i jesteśmy świadkami prób konsolidacyjnych, mnożą się i recepty na zjednoczenie, nie zabrakło nawet takiej, która radzi zaczekać, aż „endecy” wymrą. Na razie zaś, w przeddzień uroczystości w Piekarach, raczy się opinię Polski wiadomością o listach gończych, rozsyłanych za najwybitniejszym z mieszkańców owych „izdebek szczytowych”. Czyżby kto naprawdę myślał, że jest to droga do utrzymania tego, cośmy odzyskali w sposób graniczący z cudem, i do zdobycia tego, co nam się jeszcze słusznie należy?

Chwila obecna może niejednego upajać, ale wystarczy spojrzeć nieco dalej na zachód, aby znaleźć bardzo wymowne ostrzeżenia.

Z. R.

CZYM JEST OBECNA LITWA?

ILEKROĆ odwiedzam Litwę — a znam ją od lat trzydziestu — tyle razy, zwłaszcza w latach ostatnich, przychodzi mi na myśl pytanie, umieszczone w nagłówku. Trudno bowiem uwierzyć, aby dwumilionowe państwo litewskie, ongiś—gubernia kowieńska, miało podstawę do egzystencji na dłuższą metę. Trudno zrozumieć, czemu ten osobliwy twór powojenny zdołał nietylko „wprowadzić się” do rodziny państw europejskich, ale wzbudzić zainteresowanie sprawami swojej polityki i kultury.

Jeśli jest mowa o znajomości Litwy obecnej, to my najmniej o niej wiemy, dzieli nas bowiem osobliwy, jedyny w swoim rodzaju — mur graniczny. Przedostanie się od nas do Kowna drogą legalną jest niemożliwe. Stąd obfite pole do pokątnych informacyj, które *via* Berlin lub Ryga—przychodzą do Warszawy, zaciemniając jeszcze bardziej widnokrąg. A przecież czas najwyższy zorientować się, czym jest Litwa, jakie są jej dążenia polityczne, sprawy wewnętrzne i kulturalne. Wszystko, co zdziałała Litwa niepodległa mieści się między rokiem 1918 a chwilą obecną. Pierwsze wrażenie, jakie się odnosi z bezpośredniego kontaktu z tym krajem jest bezsprzecznie dodatnie. Widzi się jak na dłoni, że chłopskie społeczeństwo litewskie zdziałało wiele, zwłaszcza na terenie stolicy. Jeszcze przed dwudziestu laty nie wydawało się rzeczą możliwą, aby 50-tysiączne naówczas Kowno, zruszczone i zażydzone, mogło być zdolne do tak szybkiego przedzierzgnięcia się w miasto, bądź co bądź, europejskie.

Pamiętam czasy, kiedy świeżo po r. 1905 zaczęto na terenie Wilna konspiracyjnie, ale dosyć wyraźnie omawiać możliwości wskrzeszenia Litwy. Rzecz prosta, że nawet nacjonaliści ówcześni, jak Piotr Wilejszys—twórca prasy litewskiej, czy też dr. Basanowicz, wielki uczony, w najdalej idących przypuszczeniach nie sięgali poza autonomię. Ale „robota polityczna żarzyła się już w Wilnie na łamach pierwszych czasopism z „*Vilniaus Žinios*“ na czele.

Również i w gubernialnym Kownie powstawały pierwsze koła samokształcenia, związki śpiewacze, a solidarna praca polityczna duchowieństwa urabiała zwolna opinię o litewskiej odrębności narodowej. Rzecz osobliwa, że już w tamtych czasach sfery litwomańskie odżegnywały się zdecydowanie od kontaktu z Polską, szukając natchnień raczej daleko—nad Newą...

Tym się tłumaczy, że władze rosyjskie, tak czujne na analogiczne poczynania w Kongresówce, patrzyły z wielkim pobłażaniem na prace konspiracyjne na terenie Kowieńszczyzny; pomocnym był tu zapewne i język, pozbawiony pierwiastków słowiańskich, a zatem dla cenzora rosyjskiego niezrozumiały. Tu również, pomimo metamorfozy politycznej, mieści się, zdaniem moim, źródło stosunków litewsko-sowieckich, odgrywających w chwili obecnej poważną rolę w polityce Kowna. Nie uprzedzajmy jednak wypadków. Rok 1914 zastaję Litwę w stanie ekonomicznym jaknajgorszym. Ustaje budownictwo, ruch handlowy (zawładnęły nim ręce żydowskie) zmniejsza się do *minimum* — dystansują go ośrodki przemysłowe Białegostoku i Łodzi.

Kowno staje się jakimś anachronizmem, martwą mieściną prowincjonalną, na peryferiach której stoi kilka pułków rosyjskich. Nic nie zapowiada tego stanu rzeczy, jaki zastałem tam w kilka lat później. Jeśli Litwini głoszą, że ich zasługą jest obecna rozbudowa stolicy, popełniają nieścisłość. Wszystko to, co widzimy tam obecnie, w postaci blisko 6000 domów mieszkalnych, wcale

okazałych budowli ministerialnych, gładkiego asfaltu, szerokich arteryj stołecznych i zwiększenia się ludności z 50 do 110 tysięcy — jest to zasługa emigracji litewskiej, tego miliona głów, jaki pracował od kilku dziesięcioleci za oceanem i trzeba przyznać, z dużym poczuciem solidarności narodowej przekazał w r. 1918 i następnych wszystkie posiadane oszczędności na inwestycje kowieńskie. Drugim czynnikiem, finansującym rozbudowę stolicy była finansjera żydowska, stanowiąca do niedawna $^8/_{10}$ kapitału, jakim można było rozporządzać. To też zależność od tej finansjery znaczyła pierwszy okres powstawania państwa Smetony. Dopiero w ostatnim pięcioleciu, dzięki powstaniu szeregu wielkich spółdzielni, jak *„Pienocentras“* (przetwory mleczne), *„Maistas”* i *„Lietukis”* — w dziedzinie narzędzi rolniczych, Litwa zwolna zaczęła odżydzanie, niejednokrotnie uciekając się do hitlerowskich sposobów walki ze swoją mniejszością. Metody te, jak zobaczymy, rozciągnięto równolegle i na ludność polską, co stanowi osobną kartę w przeglądzie spraw wewnętrznych kraju.

Nie były one łatwe, zwłaszcza że politycy, jakimi się posiłkował prezydent Smetona popełniali nieustannie błędy taktyczne, mogące przed dwoma laty wstrząsnąć egzystencją państwa litewskiego.

Mało komu wiadomo, że gdyby nie Waldemaras i jego warcholstwo, nie mielibyśmy do zanotowania wojen chłopskich, jednych z niewielu na terenie dziejów. Echa tych rozruchów dochodzą nas niekiedy *via* Ryga; jakże ciekawe jest ich podłoże. Nieczynny przez lat przeszło 10 Sejm kowieński nie dawał możliwości wypowiedzenia stę przedstawicielom stanu włościańskiego, który w kraju *par excellence* rolniczym (78%) stanowiłby niewątpliwą większość. Mam tu również na myśli wielkie ugrupowanie polityczne, znane pod nazwą *„Ukininku Vienybe”* (Zjednoczenie rolnicze). Jest to organizacja tak potężna, ogarniająca $^3/_4$ ludności kraju, że nawet niebaczny rząd Tubialisa musiał się z nią liczyć. Lud litewski przejrzał, wykształciło go w ostatnich latach Kowno drogą radiową, przez kółka rolnicze i uniwersytety ludowe, trzeba nadto wiedzieć, że pęd do nauki na Litwie ogromny. Dość powiedzieć, że 76% akademików na Wszechnicy Witolda w Kownie—to dzieci ludu.

Cierpliwy i zamknięty w sobie lud litewski zdołał już od r. 1918 wykształcić liczne kadry młodych pionierów oświatowych. Oni to przede wszystkim spowodowali w odpowiedzi na autokratywną politykę Tubialisa pierwsze rozruchy na Suwalszczyźnie, które w latach ostatnich powtarzają się stale w całym kraju.

Jakie były postulaty tych osobliwych ruchów chłopskich? Czy, jak w XVII stuleciu głównym motorem ich były dążenia ekonomiczne? Rzecz osobliwa — o czym się sam mogłem przekonać — istotą rewolty są postulaty prawie wyłącznie polityczne. Zjednoczenie rolnicze, kierowane przez młodych pionierów ludowych domagało się z całą bezwzględnością otwarcia Sejmu, odżydżenia handlu, a następnie zmiany frontu politycznego, grawitującego przez lat kilkanaście bardzo wyraźnie ku Niemcom.

Na drugim planie domagano się scentralizowania przetworów nabiałowych, tańszych narzędzi rolniczych i kredytów z Banku Ziemskiego.

To też walki chłopskie na Litwie, niedawno zakończone zwycięstwem, stanowią dla obserwatora z zagranicy jedną ze spraw najbardziej dla polityki wewnętrznej Litwy ciekawych.

Ale to nie jest wszystko. Cały kraj dzieli się na dwa obozy, ścierające się nieustannie. Tym razem jest to walka dwu pokoleń. Jedno z nich, pamiętające okres przedwojenny, wychowane na Wszechnicach rosyjskich, bądź w Krakowie wypowiada się zdecydowanie za unormowaniem stosunków litewsko-polskich. Rozumie ono, że wszystko to, czym Litwa kulturalna dzisiaj żyje, nabyte zostało od Polski. Miałem sposobność, odwiedzając Litwę w ostatnich latach, przeprowadzić szereg rozmów na ten tak ważki temat z przedstawicielem starszego pokolenia Litwinów. Prowadziliśmy je zazwyczaj przy szczelnie zamkniętych oknach, niemal konspiracyjnie. Gdyż tam, na asfalcie ulicy zdążało ku swoim celom młode pokolenie. To, które wyrosło w zatęchłej atmosferze zamkniętych granic, skrajnego szowinizmu i jakiejś niemal fanatycznej tępoty. Pamiętam rozmowę z jednym z wybitnych pisarzów kowieńskich, którego znałem jeszcze z przed wojny. Był ze mną szczery, jestem o tym głęboko przekonany.

Powiedział mi krótko, że „zamknięcie granic litewsko-polskich jest dla Litwy dobrodziejstwem, gdyż tylko dzięki temu (!) będzie ona zdolna już w najbliższym pokoleniu wytworzyć własną kulturę (!?) i własne idee w sztuce”.—Kiedy zapytałem rozmówcy o... szersze, niż dawniej „otwarcie okien“ ku Moskwie — rezultat zerwania z Berlinem po sprawie Kłajpedzkiej — uśmiechnął się znacząco. — Zrozumiałem ten pół uśmiech i przypomniały mi się lata 1905 — 1914, kiedy litwomaństwo kowieńskie mówiło innymi nieco słowy—to samo...

Wojny chłopskie i walka dwu obozów, reprezentujących obecną Litwę—to jeszcze nie wszystko, coby się o jej sprawach wewnętrznych dało powiedzieć. Czy mam cytować raz jeszcze bezprzykładne pastwienie się nad ludnością polską, nie będącą w żadnym razie elementem „mniejszościowym“ na Litwie. Nieustanne zamykanie reszty szkół polskich, martyrologię jedynego naszego pisma „Dnia Kowieńskiego”, rugi w nauczycielstwie, ba! — dzieje więzienia kowieńskiego, nie ustępującego, jeśli idzie o Polaków — Butyrkom.

Pisałem o tych sprawach na łamach innych czasopism polskich. Tych rzeczy już nie potrzeba oświetlać. Na ich tle tym plastyczniej zarysowują się wpływy sowieckie, jakie zapanowały na Litwie od roku; wpływy potężne, nie obliczalne w skutkach.

Maleją wobec nich litewskie sprawy kulturalne. Jest w nich dużo wartości oryginalnych. Literatura i sztuka litewska mają swoją wymowę, pomimo, że powstały dopiero w połowie ubiegłego stulecia. Warto o nich pomówić, zwłaszcza że wiele z nich jest żywym odbiciem psychiki ludu litewskiego i jego dążeń obecnych.

Spojrzawszy na Litwę dzisiejszą z góry, widzi się tam grę ryzykowną z bezprzykładnym uporem. Jak elastyczna piłka przerzucana między Berlinem a Moskwą wygląda Litwa polityczna.

Czyż nie zdaje sobie ona sprawy, że trawiona przez walki wewnętrzne, zaginąć może niepostrzeżenie gdzieś na obcym ugorze?

W—b

W SPRAWIE HERALDYZMU

P. KAROL Stefan Frycz w fejletonie „Na widowni” w nr. 23/37 „Myśli Nar.”, wyraża się m. in.: „Nie tak dawno toczyłem bój w obronie heraldyzmu” itd. Ponieważ p, K. S. F. napomyka tu o swej dyskusji z art. K. L. Konińskiego p. t. „Renesans heraldyzmu” („Marchołt” I/1937), przeto, jako autor owego artykułu, pozwalam sobie na pewne sprostowanie. P. Frycz nie potrzebował przedemną „bronić” heraldyzmu, (*id est*: podtrzymywania pamięci rodowej szlacheckiej usymbolizowanej w znaku rodowym, czyli herbie)—bo ja w mem studium żadnej antytradycjonalnej demagogii nie uprawiam—tak dalece jej nie uprawiam, że niektórzy z czytelników moich wyobrażali sobie, że „bronię szlachetczyzny”; pomylili się w tym samym stopniu, co p. Frycz, który widocznie mniema, że autor artykułu p. t. „Renesans heraldyzmu” jest wrogiem „szlachetczyzny”, nic podobnego; powtórzę tu za Konradem Korzeniowskim jakoś tak: „Klasowość w samej swej istocie jest mi wstrętna”. Taka czy owaka „odgórna” czy „oddolna”. Pycha i *ressentiment* — a razem nienawiść, nieomal rasowa. Ale nie chodzi tu o osobę podpisanego i jego gusta, tylko o samą sprawę, która nie jest błaha.

W artykule p. t. „Renesans heraldyzmu” zwracam uwagę na ciekawe, powojenne, zjawisko znacznego wzmożenia się zainteresowań heraldycznych, i ambicyj szlacheckich, i to nawet u osób, przed wojną całkiem w tych sprawach obojętnych, czasem nawet u ludzi, których światopogląd postępowy i demokratyczny, zdawałby się doskonale uodparniać przeciwko heraldycznym ambicjom. Zastanawiam się nad możliwemi przyczynami tego zjawiska i wynajduję ich 10 albo 11, począwszy od bardzo łatwo uchwytnych, „prymitywnych”, aż do bardziej skomplikowanych, światopoglądowych, przyczem wskazuję, że „renesans heraldyzmu”, zjawisko o wyglądzie „konserwatywnym, reakcyjnym”, da się w istocie sprowadzić do światopoglądu naturalistycznego, a więc takiego, który raczej za „postępowy” uchodzi, nie „konserwatywny”.

Po wyrażeniu tego paradoksu — (który tylko i jedynie przez p. Frycza został zauważony i uznany za godnego dyskusji—za co mu jestem wdzięczny) — przechodzę do oceny moralnej i politycznej opisanego zjawiska. Ocena ta wypada zasadniczo przychylnie. Jeśli wogóle słuszną i prawą (a w pewnym sensie i religijną[1]) jest rzeczą, starać się jak najwięcej wartości uchronić przed Czasem wszystkożernym, to i w danym razie, gdy idzie o pamięć rodzinną o sobie, słusznym i prawym jest pietyzm rodzinny. Pietyzm rodzinny czepia się konkretnych pamiątek; jedną z nich jest znak rodowy; dlaczegóżby więc oddać go niepamięci i wypierać się go? To było wyraźnie powiedziane, więc czegóż jeszcze bronić przedemną? I. dalej było jeszcze powiedziane, że bezwzględny atak na „kulturę szlachecką” i na całą, bez wyjątku, przeszłość Polski szlacheckiej, jaki prowadzą niektórzy ludowcy, (ale jak ich wielu między młodymi) — jest i niesprawiedliwy i niebezpieczny narodowo. Wreszcie zaznaczyłem, że skoro jakieś kwantum większych, średnich gospodarstw rolnych ze względów ogólno-gospodarczych utrzymać pożądanem będzie w naszej strukturze rolnej, to nie ma żadnego sprawiedliwego powodu chcieć i żądać, aby na gospodarstwach tych nastąpiła wymiana rodzin, owszem zdrowy to będzie i pożądany widok, jeśli w tych starych domach, które będą zasługiwały na to, by się oprzeć procesowi niwelacji, pozostaną na swem miejscu te właśnie, tutaj oddawna wziemione a nie inne rodziny[2]). Dla czego widok ruiny ma być lepszy niż widok trwania? Wyniosłem w konkluzji zdanie, że łączenie się ziemian w związki, aby się oprzeć zniżce swej warstwy jest naturalne, ale że warstwą dziś kierującą może być tylko warstwa miejska, inteligencka, w którą wchodzą jednostki ze wszystkich warstw. Tu, odnośnie do renesansu heraldyzmu dodam jeszcze, com tam zaniedbał podnieść że „renesans” ten u szlachty drobnej na Ziemiach Wschodnich przynosi nam nowo-uświadomionych Polaków. A ponadto wskazuję, że w takiej np. Szwajcarji, starej demokracji, zainteresowania genealogiczne—i heraldyczne—są żywe i rozpowszechnione, i nikt nikomu nie bierze za złe, że zna nazwiska i dzieje pokoleń, z których się wywodzi. W artykule mym podnoszę, że znajomość swego pochodzenia jest interesującą i może być pożyteczna—więc chyba oddałem „genealogizmowi”, a „heraldyzmowi” w szczególności, wszystko co się należy?

Ale zarazem przestrzegam przed niebezpieczeństwami i obrzydłościami tradycjonizmu szlacheckiego, jeśli nie będzie wciąż dozorowany — przez wyższe ideały — jak sprawiedliwość społeczna i ludzka, poprostu jak ideał prawdziwej *nobilta*, pańskości, która zapomina o swej pańskości i chce być tylko czystem człowieczeństwem przez Chrystianizm rzetelny korygowanym, przez takt, humor, skromność osobistą itd. Dawałem przykłady snobizmu i pyszałkowstwa, mam ich więcej w zanadrzu; wyznam, że jest dla mnie ohydną taka jakaś mumia przedpotopowa, która się chełpi tem, że się wywodzi ze dworu i która wyobraża sobie, że z tej racji wolno jej pluć w gębę wszystkim naokoło; wychowanie dzieci na paniczów i paniczyków zarozumiałych na swe „koneksje i koligacje” uważam za płaskie i głupie i niebezpieczne dla nich samych... Przestrzegam, że w dzisiejszym napięciu socjalnem, kiedy równocześnie tyle ambicji budzi się u młodzieży ludowej — ambicji w zasadzie dobrych i zdrowych, ale często, w klasowość oddolną przechodzących — przestrzegam więc, że dziś zwłaszcza klasowość odgórna, przejawiająca się jakimkolwiek snobizmem, czy arogancją, może tylko prowokować i prowadzić do najgorszego... Potencjalna Hiszpania jest wszędzie — chyba z wy-

[1]) „Czas ma nadzwyczaj coś gorzkiego w sobie — — Czas jest okrutny i przeto człowiek w czasie żyjąc, żyje smutny...” (u Krasińskiego); — albo: „Nie ujrzysz Czasie we mnie zmian“ (u Szekspira—Kasprowicza). Tu wyłazi metafizyka—więc i coś religijnego.

[2]) Temu chyba nawet autorka „Rozdroża“ nie sprzeciwi się—tylko ktoś ma rasową (rasowo-klasową) nienawiść do tej warstwy...

jątkiem tych krajów arysto-demo-kratycznych, jak Szwajcaria, Skandynawia, i inne, gdzie oddawna już człowiek z ludu czuje swą godność, — której nikt nie grozi.

Prawda, że przyjemniej za sobą mieć przeszłość rodową ważniejszą, większą, potężniejszą, okazalszą, niż nieznaczną, mniejszą, słabszą, szarą. Tu się gnieżdżą, w dziedzinie tych różnic, tajne ale bardzo srogie i jadowite pychy i zawiści. To trzeba leczyć. Gdyby „Renesans heraldyzmu" miał rozjątrzać te miejsca, trzebaby ganić każdego, kto się — nie bez satysfakcji przyznaje do szlachectwa. Sądzę jednak, że recepta podana w art. z „Marchołta" może się przyda do tego, ażeby ocalić te pamiątki — jako pamiątki przeszłości, która nie tak całkiem była bezchwalna, nie tak integralnie haniebna... Która owszem, wiele szlachetności, wiele tężyzny, wiele zdolności zwłaszcza w wieku pokuty, pokazała światu i pokoleniu polskiemu... A mianowicie, żeby we wszystkich wzniecić ambicję pamiętania siebie i dla tego pamiętania swoich. A ta ambicja powoduje, jako swój warunek, drogę: żeby było co pamiętać. Rodzina i naród i stan i rejon itp. — to nie są policyjne nakazy. Jeśli takie utwory są, to dlatego, że się budują indukcyjnie od dołu, przez katenacje jednostek, które nie umieją nie pamiętać... Tu się chyba z mym Szan. Oponentem godzę?

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

ECRASEZ UNE FEMME!

NAMNOŻYŁO sie ostatnimi czasy wiele różnych „firm wydawniczych" o podejrzanym pochodzeniu, składzie i celu. Podejrzenie wzbudzić musi przede wszystkim ich stała anonimowość, następnie wygląd zewnętrzny wydawnictw, w większym zaś stopniu ich wewnętrzna zawartość (okropna polszczyzna, idąca w parze z duchem zgoła nie polskim); wreszcie zaś specyficzny sposób ręklamy. W reklamie tej uderza najpierw to, że książkę zachwala się nie jako dzieło ducha i umysłu ludzkiego, ale jako towar, taki sam jak mąkę i krupy, garderobę męską czy pastę „Jaśniej słońca".

Do takich anonimowych firm wydawniczych narówni z innymi „Renesansami", „Płomieniami", *e tutti quanti*, należy też „Polskie (??) Towarzystwo Przyjaciół Książki". Rozesłało ono niedawno prospekty swego wydawnictwa p. t. „Życie i twórczość wielkich filozofów, od Sokratesa do Bergsona". Autorem jest prof. uniwersytetu Harvarda, Will Durant; jego dzieło rekomenduje swą przedmową współpracownik tegoż, żydowski uczony H. Driesch; nazwiska tłumacza nie podano (pewno któraś gałąź licznych — „baumów"); zatajono też miejsce druku książki oraz siedlisko samej firmy...

Już te wszystkie okoliczności są nader wymowne. Ale o wiele wymowniejsza jest sama treść prospektu. Dowiadujemy się z niego, że całość „dzieła" obejmie kilkanaście rozdziałów. Ostatni z nich, w myśl tytułu publikacji, będzie poświęcony całkowicie chwalbie żydowskiego filozofa Bergsona. W innych zaś rozdziałach będą omówione różne okresy i etapy filozofii światowej, w doborze i proporcjach... chciałoby się rzec: fantazyjnych i kapryśnych, gdyby nie to, że przy przejrzeniu spisu rzeczy widzi się w całym tym układzie — robotę umyślną i planową. Oto, wyjąwszy Platona i Arystotelesa, którym dla „przyzwoitości" poświęcono po całym rozdziale, obraz dziejów filozofii w „dziele" Duranta-Driescha jest tak sfabrykowany, że na czoło wszędzie wysuwają się pisarze żydowscy, obok nich zaś główną uwagę poświęca się pisarzom i działaczom zdecydowanie wrogim chrześcijaństwu, w szczególności zaś katolicyzmowi, stąd to w szczegółowym przeglądzie treści napróżno szukać choćby najdrobniejszej wzmianki o najgenialniejszym i najczynniejszym, obok Platona i Arystotelesa, filozofie starożytnym, św. Augustynie; milczeniem pominięci zostali i ci genialni filozofowie, którzy św. Augustynowi natchnienie i impuls zawdzięczają, a więc nie tylko filozofowie średniowieczni; ze św. Anzelmem i Bonawenturą na czele, ale i nowocześni, tacy jak Descartes i Pascal. Z całego średniowiecza wspomniany został (i to tylko półgębkiem) św. Tomasz z Akwinu. Natomiast cały długi rożdział odrębny poświęcono podrzędnemu filozofowi żydowskiemu, Mojżeszowi Majmonidesowi, obok niego zaś umieszczono, też jako „filozofa" (!!), żyda portugalskiego Uriela Akostę, którego jedyne dzieło to pamiętnik ujawniający całą ciemnotę i całe barbarzyństwo ghetta żydowskiego... Jeszcze dłuższy rozdział odrębny (znacznie dłuższy od rozdziału poświęconego Platonowi) otrzymał Baruch Spinoza, któremu przypisano ponadto niebywały „wpływ na epokę".

Jeżeli twórca racjonalizmu, Locke, dostał w książce Duranta-Driescha tylko ogólnikową wzmiankę, to jeden z najobszerniejszych rozdziałów poświęcono Wolterowi. Nie dla tego, jakoby był filozofem — bo zresztą wiadomo, że filozof to był płytki, a zgoła nie oryginalny; zresztą napewno zdają sobie z tego sprawę i autorowie książki, skoro omawiają wyłącznie... czysto literacką działalność Woltera (np. jego „romanse") oraz anegdotki biograficzne („Potsdam i Fryderyk"). Jeżeli więc zdecydowano się, by Wolterowi poświęcić mniej więcej dziesiątą część książki, to jedynie dlatego, że widziano w nim jednego z głównych wrogów i rozbijaczy chrześcijaństwa. Autorowie książki wcale się z tym celem nie kryją, owszem manifestują go wyraźnie przez to, że jednym z naczelnych punktów rozdziału o Wolterze czynią wezwanie: *Ecrasez l'infame!*

Ale w tym zapędzie antychrześcijańskim potknęła się noga synom Izraela: profesorowi Drieschowi i jego „polskim" wydawcom. Oto bowiem w swej „uczoności" wzięli wyraz *infame* za rzeczownik z rodzajnikiem, a więc *un* (!!) *femme*, ponieważ zaś osądzili, poniekąd słusznie, że do *femme* przynależy rodzajnik żeński, nie męski, więc ostatecznie wezwanie pisarza francuskiego otrzymało w książce Duranta-Driescha, tłumaczo-

nej *ad usum Iudaeorum* przez „Polskie (!!) Towarzystwo Przyjaciół Książki", brzmienie dosłownie takie:

Ecrasez une femme!

Kto nie wierzy, niech czyta! „Polskie" towarzystwo „Przyjaciół Książki" skwapliwie rozsyła swe prospekty „dla uczonych — dla laików — dla szkół". Zdaje się, że dla laików przede wszystkiem. Te nowe Ateny, gdzie rdzenni Ateńczycy idą w ogonku za Majmonidesami, Almotenabbiemi, Ben Akibami, Ben Baruchami, a może jeszcze i za cadykami sadogórskimi, są zaiste „idiotom dla nauki, melancholikom dla rozrywki erygowane"...

Erasez une femme! Rozbijcie, zdepczcie — kobietę... Takie hasło istotnie głoszą i głosili Żydzi, więc może mimowolna szczerość pokierowała piórem inicjatorów wspomnianego żydowskiego wydawnictwa. W żadnym społeczeństwie kobieta nie była w takiej pogardzie, jak u ziomków Uriela Akosty... Nikt z taką zawziętością nie deptał i nie niszczył jej kobiecości...

Mamy wrażenie, że pomimo hucznej reklamy, jaką sobie czyni anonimowe, „Polskie (??!) Towarzystwo Przyjaciół Książki", polska publiczność nie będzie nabywała tego importowanego wydawnictwa. Mówi przysłowie, znane Platonowi i Arystotelesowi, że nie trzeba importować sów do Aten. Na co nam obce, tendencyjne i niepoważne „dzieła naukowe", obliczone tylko na tanią reklamę, skoro mamy wspaniałą dwutomową „Historię filozofii" (nakł. Zakładu narod. im. Ossolińskich we Lwowie, obecnie III wydanie), napisaną oryginalnie po polsku przez wielkiego uczonego i prawdziwego artystę, prof. Władysława Tatarkiewicza, zalecającą się nie tylko wzorowym, niekiedy mistrzowskim stylem i językiem, nie tylko gruntownością faktów, należytym, ścisłym i równomiernym uwzględnieniem **wszystkich** epok filozofii, nie tylko wreszcie szerokim omówieniem dziejów filozofii polskiej, ale ponad to nadzwyczajną przystępnością wykładu, tak iż każdy czytelnik polski z pożytkiem i przyjemnością do rąk może wziąć to dzieło. Zaś książkę Driescha-Duranta dyskwalifikuje już na wstępie sam styl jej anonimowego tłumacza czy wydawcy.

A. CHĘTNY

POLSKA I SPRAWY MORSKIE

LIGA Morska i Kolonialna urządza i w tym roku zbiórkę na niezbędny dla jej zadań fundusz. W wydanym przy tej okazji komunikacie Liga tak zadania swoje motywuje.

Rozbudowa naszej marynarki wojennej postępuje. Stocznia budowana jest w tempie możliwie pospiesznym, aczkolwiek nie tym, jakbyśmy tego pragnęli.

Przybywają w tym roku cztery jednostki bojowe, z których jedna będzie dziełem Ligi Morskiej i Kolonialnej. Daleki jednak ten stan rzeczy od realizacji naszego hasła „Musimy Polskę dozbroić na morzu". Hasło to będzie naprawdę postawione realnie dopiero wówczas, kiedy problemowi dozbrojenia Polski na morzu poświęcone będą nie tylko te skromne pozycje budżetowe dotychczasowe, nie tylko nasze datki społeczne, ale kiedy konsekwentnie zostanie przeprowadzony wielki program morski Rzeczypospolitej.

Na gruncie Genewy zostało podniesione przez delegata Polski, że Państwo nasze ma prawo domagać się bezpośredniego dojścia do źródeł surowców. Istotnie, wzrastające bezrobocie wsi i miasta, kryzys, z którego nie wyszliśmy, zmusza nas do wzmożonej pracy w kierunku uprzemysłowienia kraju. Dla rozwoju naszego przemysłu konieczne jest bezpośrednie dojście do źródeł surowców. Potrzebne są nam nowe rynki zbytu. Potrzebna nam jest nasza własna, wielka flota handlowa, która, dostarczając surowiec z kolonii, jednocześnie przywoziłaby tam wytwory polskiego przemysłu.

Za oświadczeniem przedstawicieli Rządu Rzeczypospolitej w Genewie, jako pierwszy, decydujący bodaj czynnik powodzenia, musi stanąć zdecydowana wola społeczeństwa, która wobec opinii zagranicznej stwierdzi, że jako najmłodsi i najbardziej potrzebujący zgłaszamy swe zdecydowane żądanie uczestniczenia w podziale dóbr kolonialnych. Minęły zapewnie czasy zdobywania kolonii tylko drogą orężną. Układ sił w Europie jest jednak taki, że daremnie kusić się będziemy o poważny i współdecydujący udział w przetargach kolonialnych, jeżeli za sobą nie będziemy mieli atutu silnej marynarki wojennej.

Z tych dwuch przesłanek, podanych powyżej, tegoroczne hasło „Tygodnia Morza" zarysowuje się jasno, mocno i zrozumiale: „Chcemy silnej floty wojennej i kolonii". Hasło to ogarnia swoją wszechstronnością wszystko to, co Naród w dziedzinie morskiej winien zawrzeć jako dewizę bojową, jako wskazanie w pracy codziennej roku bieżącego. Musimy wzbudzić w sobie przeświadczenie, że mobilizacja nasza w dniach „Tygodnia Morza" i uporczywa wola w ciągu całego roku, musi zastać nas za rok, w następnym „Tygodniu Morza" w dalszym stadium realizacyjnym. Rząd Rzeczypospolitej po raz pierwszy stwierdził oficjalnie nasze tendencje kolonjalne. Kolejno ten sam Rząd i ta sama opinia zagraniczna musi mieć przekonanie, że za tymi słowami stoi zwarta opinia wszystkich Polaków.

Nie możemy zapomnieć, że w tym roku wygasa konwencja genewska. Zagadnienie śląskie, tak mocno przez magistralę węglową związane z Gdynią. winno być należycie naświetlone. Ścianie zachodniej Liga Morska i Kolonialna poświęcała zawsze decydującą uwagę. Niedawno Walny Zjazd Delegatów odbył się w Poznaniu. Obok dwuch dotychczasowych punktów centralnych „Tygodnia Morza": Warszawy i Gdyni, organizowany będzie trzeci — Katowice.

Katowice i Gdańsk wytyczać będą linię propagandową Ligi Morskiej i Kolonialnej, zawartą w słowach: „Płucami Śląska — Gdynia i Gdańsk, puklerzem okręty wojenne Rzeczypospolitej".

OD WYDAWNICTWA

ZESZYTEM niniejszym zamykamy pierwsze półrocze 1937, pierwszy tom rocznika XVII. Spis rzeczy, który dołączamy wraz z kartą tytułową, daje dokładną informację o pracy naszego tygodnika i starczy w zupełności za prospekt.

Pracujemy równolegle do prasy codziennej, nie konkurując z nią w informacji, natomiast uzupełniając to, co życie bieżące przynosi, takimi przyczynkami i wnioskami ogólniejszej natury, któreby sens tego życia bieżącego syntetyzowały. Gdzież szukać tej syntezy, jeśli nie w myśli przewodniej, która z wysiłków we wszystkich dziedzinach życia wytwarza organiczną całość twórczości narodowej, a z jednostki czyni pełną godności osobowość?

Synteza taka daje się osiągnąć nie w jakiejś poszczególnej dziedzinie pracy (w polityce, gospodarce, nauce, literaturze czy sztuce z osobna), lecz przez człowieka w drodze t. zw. kultury. W człowieku kulturalnym trzeba szukać klucza do rozwiązania zagadnień dziejotwórczych.

*

W stosunkach codziennych, akcentowanych najdobitniej walką polityczną, ta najgłębsza idea harmonizowania życia przez kulturę i ukazywania mu najodleglejszych celów twórczości narodu, zagłuszana bywa namiętnościami lub wygasa z próżniactwa duchowego. Bez szkoły myślenia, bez szacunku dla kultury umysłowej i moralnej daleko nie ujedziemy. Dla tego dbać trzeba o to, aby takie wydawnictwa, jak, „Myśl Narodowa" prosperowały. Podtrzymywać trzeba ich byt materialny i współpracować z nimi umysłowo.

Któżby dziś nie wołał: „podciągajmy Polskę wzwyż!" Ale zacząć trzeba od rzeczy prostszej: od podciągnięcia siebie samego wzwyż. Zacząć trzeba od tego, aby zrozumieć (pojąć=odczuć), że samym sprytem politycznym nie da się Polski podciągnąć ani naciągnąć. Potrzebna jest porządna, uczciwa praca do głębi duszy; tam w głębi jedynie spotkać się może działacz z duszą narodu i stać się jej prawdziwym rzecznikiem.

Nie pomogą fortele możnych tego świata, krzyki haseł radykalnych ze strony słabych — bez głębszej myśli, natchnionej duchem dziejów narodu, pokierować sprawami narodu nie zdołamy.

*

Zadaniem „Myśli Narodowej" jest mieć nietylko czytelników, ale skupiać koło siebie ludzi piszących. Jak widzimy z półrocznego wykazu, jest ich, jak na te warunki, nie sprzyjające ludziom zasad,—poczet pokaźny. Redakcja zrobiła mimowoli zawód czytelnikom, zapowiadając serię artykułów Romana Dmowskiego. Niestety, pomimo najlepszych chęci autor z powodu przedsiębranej kuracji nie mógł tej pracy w oznaczonym terminie wykończyć.

W najbliższym czasie obok wielu innych prac ogłosimy ciekawą rozprawę Karola Huberta Rostworowskiego „Żydzi w Egipcie". Z innej dziedziny atrakcją będzie praca nieodżałowanej pamięci artysty Ferdynanda Ruszczyca o Wilnie. Piszący te słowa chciałby ogłosić w tym czasie parę rzeczy pamiętnikarskich, między innymi listy Zygmunta Balickiego, jako przyczynek do dziejów czasopism ideowych, których dalszym ciągiem jest „Myśl Narodowa".

*

Na zakończenie zwracamy się do przyjaciół pisma, aby w miarę możności zasilali fundusz prasowy wydawnictwa. Będzie to godziwy i bardzo skuteczny sposób ich współpracy z naszym ciężkim wysiłkiem.

Z. W.

NAUKA i LITERATURA

„RUCH LITERACKI"

NA PÓŁKACH księgarskich ukazał się zeszyt podwójny za marzec i kwiecień „Ruchu Literackiego".

Na wstępie p. Stefania Skwarczyńska, młoda a utalentowana polonistka dała nam notatę sprawozdawczą o „Prawdzie życia" Jana Rozwadowskiego. Ten wielki uczony, nietylko w dziedzinie swojej ściślejszej specjalności, (językoznawstwo), lecz również umysł niepospolity w całym zasięgu nauk humanistycznych, prawdziwy mędrzec nowoczesny, w papierach pośmiertnych zostawił filozoficzne wyznanie wiary, które wydał i wstępem poprzedził prof. Adam Krokiewicz, jeden z wybitnych uczonych polskich. Trudno nie sarknąć na codzienną prasę naszą, która całe szpalty zapełnia wiadomościami o gwiazdorach i gwiazdach filmowych ub bohaterach ringu, podając zarazem ich podobizny i z profilu i *en face* i z innej jeszcze strony, a nie ma miejsca, aby informować czytelników o takich mocarzach ducha, jak Jan Rozwadowski. Praca Rozwadowskiego posuwa kulturę narodową naprzód, ale kopanie piłki nożnej czy rozbijanie nosów na ringu, bądź rozgrywki tenisowe do tej kultury nie wiele się przyczyniają, jeśli jej nie obniżają.

Ostatnie książki Kridla i Ingardena, poświęcone wiedzy o literaturze, narobiły wiele mątu w kołach polonistów. Płynie to po części z tego, że szerszy ogół nie jest zorjentowany w szeregu zagadnień filozofii, psychologii i socjologii estetyki (Lalo, Lanson, Guyau, Croce, Vossler), wysuniętych w dziełach uczonych nietylko po wojnie, ale i w okresie przedwojennym. Tematom poruszonym, przez Kridla i Ingardena, poświęcono w „Ruchu Literackim" dwa artykuły: Miecz. Giergielewicz pisze o „Próbie metody integralnej w badaniach literackich", a Julian Lewański nawołuje o „System wiedzy o literaturze". Autor niniejszej notatki przychyla się do zdania H. Życzyńskiego, który pisał („Prosto z mostu" nr. 27), że „poloniście nie bardzo się opłaca studiować dzieło Ingardena, bo ewentualne korzyści nie są proporcjonalne do włożonego trudu. To, co autor, posługując się nowymi terminami, mówi o konkretyzacji dzieła literackiego, to jest stare i znane". Słusznie, przyświadczymy

p. Życzyńskiemu: szkoda czasu i atłasu, bo studjowanie Ingardena, to pracowite przelewanie z pustego w próżne.

P. Zetowski, który w poprzednim zeszycie wydrukował pierwszą część swego studjum: „Mickiewicz i Słowacki w kręgu sugestii wolnomularskich", zamieścił teraz zakończenie swoich rozważań.

Pisząc o Mickiewiczu p. Zetowski z symboliki liczb i godzin w „Dziadach" wywodzi, przez analogię z rytuałem masońskim, że utwór ten jest poetyczno-dramatyczną transpozycją obrzędowości wolnomularskiej. Zarzut, jaki musimy postawić p. Zetowskiemu, to zbyt zacieśniony krąg badań, zaciemniający horyzonty. Oczywiste, że w „Dziadach" są podźwięki filozofii bardzo starożytnej, a gdy się w niej rozejrzymy na tle porównawczym, posługując się materiałem zebranym przez tak wybitnego uczonego, jak Lehmann („*Aberglaube und Zauberei*"), wówczas te i owe zdawałoby się masońskie praktyki nabiorą zgoła innego oświetlenia.

Bacon był wolnomularzem, różokrzyżowcem (Nesta H. Webster, „*Secret Societies and Subversive Movements*, London 1928), ale czy dla tego właśnie w „Nowej Atlantydzie" mamy różne kwestie związane z symboliką liczb? Przecież Kant swój system „Krytyki czystego rozumu" podzielił na dwanaście kategorii, poszeregowanych w cztery trójki. Wolfgang Schultz w badaniach o Grozie zwrócił był uwagę, że Kant nasuwa nam obraz Jeruzalem z „Apokalipsy" z bramami po trzy z każdej z czterech stron świata; że nasuwa się nam na myśl rok z podziałem na cztery kwartały. Badania, dotyczące liczb i godzin, stworzyły całą bibliotekę. Ogromną literaturę przedmiotu przytoczył Andrzej Niemojewski w swojem studium „Dawność a Mickiewicz". Ponieważ p. Zetowski nie bierze pod uwagę ważnej pracy Niemojewskiego, stawić mu musimy zarzut jednostronności, nie przekonywającej nas obiektywizmem.

A co do sugestii wolnomularskich u Mickiewicza, to przecież bodaj prof. Chrzanowski wykazywał, że „Oda do młodości" jest hymnem o charakterze masońskim.

Co się tyczy wędrówek „Kordiana" Słowackiego, to p. Zetowski inspiruje, że „są one niczem innem tylko symbolicznem przygotowaniem do wtajemniczenia się w najwyższe stopnie wolnomularstwa", a Kordian po przeobrażeniach zostaje „doskonałym masonem". Ale argumenty przytaczane na to przez p. Zet. są tylko próbą przekonywania, ale nie są dowodem. Zresztą jest to raczej inspiracja ciekawa publicystycznie, oparta na logicznej egzegezie. Ależ metoda błędna i fałszywie zastosowana.

Nadto mamy w „Ruchu Literackim" artykuł o „Napoju cienistym" Leśmiana, skreślony urywek „Lalki" Prusa, listy Kasprowicza do Jeża i jeden list do Przybyszewskiego. Zeszyt uzupełniają recenzje. wt

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

W połowie czerwca odbyło się w Krakowie doroczne publiczne posiedzenie Akademii Umiejętności w obecności przedstawicieli władz. (Prezydenta Rzplitej reprezentował min. Świętosławski).

Sprawozdanie z działalności Akademii za rok ubiegły złożył sekretarz generalny, prof. dr. S. Kutrzeba. Uczcił w nim na wstępie zmarłych członków Akademii: W. Demetrykiewicza, ks. J. Fijałka, W. Tokarza, W. Natansona i W. Bueiela, oraz członków zagranicznych: A. Meilleta, E. Bernekera, L. Miletića, P. de Nolhac, J. Pekara, E. Champeaux i H. Le Chatelier.

Komitet „Polskiego Słownika Biograficznego" liczy 449 współpracowników. Wyszedł już drukiem drugi tom „Słownika", zawierający 820 artykułów, trzy zeszyty tomu trzeciego mieszczą 447 artykułów. Biografie objęły już znaczną część litery C. Niestety mało ma jeszcze „Słownik" prenumeratorów. Ich liczba przekroczyła zaledwie 900.

Prace przy rozkopywaniu Kopca Krakusa dobiegają końca. Jak wiadomo, grobu w nim nie znaleziono. Poszukiwania jednak kontynuowano, a ponieważ prywatny ofiarodawca i inicjator kopania łożyć już na to nie chce, Akademia prowadzi prace swoim kosztem.

Z ważniejszych wydawnictw wymienił prof. Kutrzeba podjęte świeżo wydanie traktatów międzynarodowych, jakie zawarła Polska od X w. do rozbiorów. Ukazał się XXXI tom Bibliografii Polskiej Estreicherów, na ukończeniu są tomy prehistorii i obyczaju polskiego z Encyklopedii Polskiej. Wyszedł t. XVIII katalogu literatury matem.-przyrodniczej w opr. prof. K. Hoyera; ogłoszone zostały „Polskie ustawy i artykuły hetmańskie z w. XV—XVIII" w opr. prof. S. Kutrzeby; zbiory listów S. Goszczyńskiego i Trentowskiego w opr. prof. S. Pigonia; dwa tomy „Pamiętników" T. T. Jeża; monografie o Janie Olbrachcie prof. F. Papéego; „Wojna 1812 r." gen. M. Kukiela; „Skarbowość za St. Augusta" prof. R. Rybarskiego; trzeci tom pism prof. E. Godlewskiego i in. Ogółem wydano 50 tomów w 1,000 arkuszach.

Osobny dział stanowią wydawnictwa, dotyczące Śląska, którymi kieruje prof. W. Semkowicz. Powstał też specjalny komitet pod kierownictwem rektora U. J. prof. W. Szafera, badający zagadnienia naukowe Beskidu.

Rozwija się dobrze paryska stacja P. A. U. Biblioteka Polska. Na zorganizowanym tu „*Centre d'Etudes*" do katedr pp. Cazin i de Montforta przybyła trzecia, katedra wojskowości polskiej, którą prowadzi gen. Faury.

Akademia utrzymuje się prawie wyłącznie z własnych dochodów, które dają majątki przez hojnych ofiarodawców prywatnych zapisane. Subwencje są minimalne; niższe, niż podatki płacone od majątków. Potrzeby nauki nie znajdują należytego zrozumienia.

Ogłoszono też listę nowowybranych członków Akademij polskich i zagranicznych.

Na Wydziale Historyczno-Filozoficznym wybrani zostali na członków czynnych: prof. dr. Jan Łukasiewicz z Warszawy i dyr. dr. Marian Kukiel z Krakowa. Na członków korespondentów: prof. dr. Kazimierz Dobrowolski z Krakowa i prof. dr. Marceli Chlamtacz ze Lwowa. Na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym na członków korespondentów: prof. dr. Mieczysław Jeżewski z Krakowa i prof. inż. Czesław Witoszyński z Warszawy. Na Wydziale Lekarskim na członka czynnego prof. dr. Marian Franke ze Lwowa.

Wybrano członków zagranicznych: Gabriela Bertrand, prof. chemii biologicznej w Sorbonie, członka *Institut de France* i sir Artura Edington, prof. astronomii Uniwersytetu w Cambridge — na Wydziale Matem.-Przyr. oraz na Wydz. Lekarskim: Gustawa Roussy, prof. patologii Uniw. w Paryżu i Wł. Bugiela, lekarza w Paryżu.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Michałowski Kazimierz. „Delfy". Z 83 ilustracjami. Państwowe Wyd. Książek Szkolnych. Lwów 1937. Str. 156+2 nlb. (Cena 4 zł.)

Jest to tomik pierwszy z cyklu p. t. „Grecja i Rzym", poświęconego życiu i kulturze świata klasycznego, a zarazem pierwsza w literaturze polskiej monografia słynnych z wyroczni Delf.

Książka składa się z trzech części, uzupełnionych wykazem bibliografii. W części pierwszej p. t. „Życie" omawia autor dzieje odkrycia Delf przez naukę europejską, mity związane z wyrocznią, jej rolę i znaczenie w świecie greckim oraz dzieje polityczne i kulturalne aż do upadku miasta i wyroczni w pierwszych latach po zapanowaniu chrystianizmu w cesarstwie rzymskim. W części drugiej opisuje autor ruiny miasta i świętych okręgów Ateny i Apollina, kładąc nacisk na historię poszczególnych zabytków. Część trzecia wreszcie poświęcona jest sztuce, której Delfy są jednym wielkim muzeum.

Piękny i potoczysty styl autora, gruntowna znajomość przedmiotu oraz mnóstwo pięknych, nieznanych dotąd w literaturze polskiej reprodukcji zabytków delfijskich czynią z tej książki cenny nabytek dla każdego miłośnika kultury starożytnej, a zwłaszcza dla młodzieży, która tego rodzaju książki nie miała.

*

Adam Schmuk. „Z Pińska do Augustowa kajakiem". Państwowe Wydawnictwo Książek Polskich. Lwów 1937. Str. 87. Cena zł. 1.75.

Gdy zaroją się znów kajakami wody wszystkich jezior i rzek, tysiące ich popłynie tym szlakiem. I tak będzie co rok, tylko że coraz to więcej i więcej kajaków wypływać będzie na tę wodną wstęgę, tak piękną i tak bliską, a tak daleką jednocześnie, nieznaną i egzotyczną. Trzeba dopiero przeczytać ten ciekawy reportaż, napisany jakżeż żywo i barwnie, z jaką werwą młodzieńczą i humorem, aby odkryć cuda, o które na naszej ziemi tak łatwo. Trzeba tylko wpatrzyć się w te 20 ślicznych zdjęć fotograficznych, zamieszczonych w tej książeczce, aby natychmiast zdecydować się na wybór szlaku najbliższego „spływu". Młodzieży naszej przybyła dobra książka.

Ignacy Baliński (Aksel). „Wybór wierszy z lat wielu". Warszawa 1937. Gebethner i Wolff.

W spisie utworów, zawartych w 280 stronach tego zbioru, przy niektórych wypisał autor daty, co uwidocznia szeroką (od r. 1891 do 1936) rozpiętość czasu ich powstawania. Poeta, tak w czasie zaboru, jak i po odzyskaniu niepodległości państwa żywo odczuwał nieśmiertelność polskiej przeszłości i przypominał jej znaczenie w wierszach: „W setną rocznicę Konstytucji 3-go maja", „Berezyna", „Psalm rozbitków", „Widzenia".

Czujnie też nawiązywał myśl do bieżących zdarzeń z dziedziny kultury narodowej. Były mu źródłem i motywem natchnień. Wiersze: „Na śmierć Jana Matejki", „Do Bolesława", „Pamięci Józefa Korzeniowskiego", „Do Deotymy", „W 50-tą rocznicę śmierci Juliusza Słowackiego", „Na odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie", „Henrykowi Sienkiewiczowi", „Do Marii Konopnickiej", „Dożynki Orzeszkowej", „Do Ignacego Chrzanowskiego", „Do Marii Skłodowskiej-Curie" — są okolicznościowym pięknym świadectwem głębokich przeżyć tych czasów.

„Wybór wierszy z lat wielu" odzwierciedla obfitość artystycznych zainteresowań Balińskiego. Prócz wierszy okolicznościowych dźwięczą rymy wierszy religijnych, sonetów, rond, satyr, bajek i fraszek, nastrojowe, patetyczne, sentymentalne i żartobliwe.

Słownictwo tych wszystkich poezyj zawsze melodyjnych, cechuje w szlachetnej formie świeżość i wdzięk, bez ryzykownych neologizmów; rymy nieskazitelne.

Godnie urozmaicają książkę przekłady utworów poetów obcych. (A. W.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

ZYGMUNT WALISZEWSKI

Pewien znany plastyk powiedział kiedyś, że każdy dobry malarz może napisać dobrą powieść, jeśli tylko zechce. Nie należy tego powiedzenia brać dosłownie, ale niewątpliwie jest w niem dużo racji. Prawdziwy artysta może nie umieć pisać, nie znać techniki pisarskiej, lecz gdy zabierze głos, potrafi opowiadać interesująco. Wynurzenia plastyków, ich uwagi, notatki, spostrzeżenia, często są żywe, barwne i zajmujące. Pozwala to nam mniemać, iż, zmuszony okolicznościami, niejeden plastyk mógłby zamienić z powodzeniem pendzel, rylec, lub dłuto na pióro.

Są jednak tacy, dla których ta przemiana byłaby niemożliwa. Bynajmniej nie ze względu na brak zdolności w innym kierunku. Bo praca w umiłowanym zawodzie, zmysłowość jej doznań, staje się dla wielu funkcją tak nieodzowną, dla życia, jak oddychanie. Są poeci, którzy muszą śpiewać, jak ptak, malarze — którzy mogą tylko malować. Poza malarstwem nie byłoby dla nich życia; wszystkie ścieżki prowadzą ich do jednego Rzymu. Świat jest dla nich niczem innem, jeno rozdawcą plastycznych wzruszeń, malowanie — najpiękniejszą radością, najgłębszym sensem życia.

Do takich właśnie malarzy należał, niedawno zmarły, Zygmunt Waliszewski, członek grupy „Kapistów". Jego wystawa w IPSie obejmuje cały dorobek młodego życia, dorobek świadczący o wielkiej pracy i niemniejszym talencie artysty. Dwie salki poświęcone pracom pomniejszym, studiom, szkicom i notatkom — oprócz sali największej, gromadzącej obrazy olejne — oddają ważną przysługę w poznaniu charakteru twórczości zmarłego. Pozwalają bowiem obserwować, w odróżnieniu od innych obrazów, w których artysta przedstawia publiczności gotowy już płód, sam proces stwarzania się dzieła sztuki i ukazują nam poszukiwania, skłonności, upodobania i wzruszenia malarza, w sposób najbardziej bezpośredni.

Jeśli chodzi o Waliszewskiego, te drobne prace świadczą, iż wszystko, na czem spoczęło oko artysty, uczynił on godnem swojej uwagi. Wystarcza Waliszewskiemu najprostrzy motyw, najzwyczajniejszy przedmiot, ubogi kąt pokoju, ze zwykłym stołem, by z pasją wiecznego odkrywcy doszukiwać się w tej, prozaicznej dla innych, treści coraz to innych wartości malarskich. Widzimy także, że Waliszewski ten sam temat przerabiał po kilka razy. Zanim pojawi się jakaś treść literacka, w ostatecznej redakcji plastycznej dużego obrazu olejnego, oglądamy jej rozliczne warianty w gwaszu, akwareli, lub ołówku. Dotyczy to zwłaszcza pewnych motywów, a przede wszystkim kompozycyj. Waliszewski miał swoje ulubione tematy i stale do nich powracał. „Uczta" (współczesne wizje uczt renesansowych), sceny miłosne, motywy z *comedia del arte*, świat kulis, maszkary teatralne — oto co było najczęstszym materiałem kompozycyjnym Waliszewskiego. Artysta nie waha się mówić często o temsamem, lecz za każdym razem pragnie to samo opowiedzieć inaczej. W tem pragnieniu oglądania świata, za każdym razem od nowa, zawsze innemi oczyma, tkwi rzetelność malarska, wroga recepcie wprawnych rutyniarzy, którzy postępują odwrotnie — sięgając po coraz to inne tematy, pozostają zawsze przy tymsamym szablonie relacji plastycznej.

Najcenniejsze w pracach Waliszewskiego są wartości kolorystyczne, kolor wszędzie gra pierwsze skrzypce. Porównanie ostatnich obrazów z pracami z lat 1927—28-mych przekona każdego, jak wielkie zmiany przeszło malarstwo artysty w ciągu tego dziesięciolecia. Od ciemnych w walorze, całemi płaszczyznami kładzionych barw, droga wiedzie do skomplikowanych radosnych i żywych kolorystycznych symfonii. By lepiej zrozumieć na czem one polegają, jaki udział biorą w ich kształtowaniu rozum i serce artysty, uciekniemy się do porównania. Zestawimy Waliszewskiego ze znakomitym kolorystą poprzedniego pokolenia artystów, z Wyczółkowskim. Wyczółkowski nieomylną wrażliwością wyczuwał barwę, kwiatów np., i notował ją jako rzecz zasadniczą, tak, by sama grała swoją pysznością. Natura przynosiła mu w darze wspaniałą czerwień róży, a on, zachwycony nią, utrwalał skwapliwie jej barwę w obrazie. Inaczej u Waliszewskiego. Bóg obdarzył go najcenniejszym dla malarza darem: wrażliwością kolorystyczną, ale jemu zachwyt nad światem nie wystarcza. Wszystkie barwy działają u niego w obrazie prawem kontrastu, zestawione ze sobą w przeróżnych kombinacjach, jest to cała orkiestra, a nie kilku znakomitych solistów, jak u Wyczółkowskiego. Malowidła Waliszewskiego to cała filozofia kolorystyczna; pojęcie, którego wcale nie można zastosować, przy określaniu charakteru twórczości wielkiego Wyczóła. To uczulenie kolorystyczne, połączone ze zdolnością spekulatywną, opracowanie rozumowe, materiału dostarczonego przez serce, stanowi najistotniejszą cechę talentu Waliszewskiego.

Obrazy malarza wyglądają często jak splot włókien barwnych, lecz kształt nie rozpływa się w kolorowej mgle, jak u wielu innych jego kolegów; istnieje tu zdecydowana dążność do wyraźnego określania granicy poszczególnych płaszczyzn. Ta skłonność czyni dzieła artysty dekoracyjnymi i skłania go do podjęcia prób w zakresie

malarstwa dekoracyjnego. Jednym z ostatnich dzieł zmarłego jest plafon do „Kurzej Stopki" na Wawelu. To właśnie dzieło świadczy, iż artysta, idąc ku doskonałości malarskiej, pragnął w swych pracach zawrzeć coś więcej ponad treść zmysłowych jeno doznań. Liryczny dawniej, w niezliczonych studiach kwiatów, potrącał później często strunę groteski. Z zamiłowaniem opracowuje cykl Don Kichota i widać jak bardzo tu chodzi mu o wyraz. Tak samo w reminiscencjach dawnego teatru, np. w „*La Serva Padrona*". Sztuka tego malarza pozbawionego nóg, przykutego do wózka, zawsze była radosna i trochę kpiarska. W plafonie do „Kurzej Stopki" skrót perspektywiczny skierowuje wszystkich ku niebu. Patrzą w niebo grajkowie i śpiewacy, ku niebu wznoszą się ich pienia i wszystko śpiewa w tej różowo-niebieskiej harmonii. Otwierają się nad nami wrota bezmiaru, wydaje się, że możemy ulecieć ku górze, lekko jak słup dymu, w tą stronę, dokąd z umęczonego ciała odeszła dusza artysty.

*

Waliszewski urodził się w Tyflisie w roku 1898-mym. Jako 23 letni młodzieniec zjawia się w Krakowie, w 1921-ym, już z wykształceniem malarskim. Studiuje w Krakowskiej Akademii u Weissa. Potem przebywa z grupą Kapistów, krórej był najwybitniejszym przedstawicielem w Paryżu. Podlegał silnym wpływom malarstwa francuskiego. Umarł w 1936-tym.

WIKTOR PODOSKI

ZMARLI

Ś. P. WINCENTY ZWOLIŃSKI

Z ŁUCKA nadeszła do Warszawy smutna nad wyraz wiadomość o nagłym zgonie ś. p. Wincentego Zwolińskiego, jednego z najbliższych naszych przyjaciół, człowieka ideowego, czystego, szlachetnego, zdolnego do poświęceń i do stałej głębokiej wierności w stosunku do umiłowanych idej i ludzi.

Wszystko wokół mogło się zmieniać, Zwoliński zawsze był ten sam, dany nam jakby dla otuchy, że istnieje przecież w życiu jakaś statyka i nie wszystko jest pastwą wiecznie rwącej fali. Cichy, zrównoważony, doskonale wyregulowany w temperamencie był dla psychiki zbiorowej nieocenioną tarczą zegara. Kiedy ustanie tętno takiego serca, wtedy dopiero człowiek zdolny jest ocenić w całej pełni wartość utraconej jednostki.

Ś. p. Wincenty Zwoliński urodził się w r. 1880 na Wołyniu w ziemiańskiej rodzinie. Jego krewni żyją tam jeszcze. Do nich to wyjechał teraz dla wypoczynku z mocno nadwątlonym zdrowiem i tam—jak się dowiadujemy — zmarł niespodzianie na udar serca.

Szkołę średnią zaczął w Ostrogu, skąd przeniósł się do gimnazjum IV w Warszawie. Wydział prawny na uniwersytecie warszawskim ukończył w r. 1904, poczem rozglądając się w bezdrożu, poszedł za głosem żywego ówczesnej młodzieży poczucia, że pierwszym obowiązkiem jest służyć sprawie narodowej.

W uniwersytecie Zwoliński kształcił się gruntownie. Odznaczała się tą gruntownością każda jego robota. Szczególnie przykładał się do nauk ekonomicznych. Wkrótce w r. 1904 wyjechał zagranicę, zdaje się do Monachium, gdzie pogłębił studia. Po powrocie do Warszawy był jakiś czas sekretarzem w redakcji „Ekonomisty" (red. St. Dziewulski), ale wnet przerzucił się do dziennikarstwa.

Był członkiem Związku Młodzieży Polskiej (Zetu) wówczas został członkiem Ligi Narodowej i Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. Postanowił być użytecznym w służbie dziennikarskiej. Przychodziły lata brzemienne wypadkami; w gęstym mroku politycznym po wojnie japońsko-rosyjskiej na horyzoncie warszawskim zaczęło szarzeć, jakby się na świt zanosiło. Rodziły się projekty wydawania czasopism, potrzebnych (nie ujawnionemu jeszcze) stronnictwu.

W roku 1904 powstały w Warszawie: dziennik „Goniec" (poranny i wieczorny), dla ludu zaś założono tygodnik „Czytelnię dla wszystkich". Redaktorem tego tygodnika był Stanisław Kozicki. Wkrótce (1906) pismo to zamieniono na dziennik ludowy p. t. „Naród". W Warszawie można już było wydawnictwo tak zatytułować.

Pierwszą troską ówczesnych działaczy i pisarzy narodowych był lud. Stronnictwo w r. 1905 zawiesiło „Przegląd Wszechpolski", ale na ludowe pisma środki musiały się znaleźć. W Krakowie wydawano „Polaka", we Lwowie „Ojczyznę", w Warszawie „Czytelnię". Praca polityczna na wsi tak szybko rozwijała się w Kongresówce, że potrzebny stał się dziennik dla ludu. W „Narodzie" pracowali stale: Stan. Kozicki, dr. Jan Załuska, Al. Zwierzyński i Wincenty Zwoliński. Potem wszedł do tego komitetu b. poseł do Dumy Teofil Waligórski. W tym piśmie ludowym — rzecz znamienna — komitet redakcyjny był zarazem sztabem politycznym organizacyj ruchu narodowego.

Zwoliński wykwalifikował się rychło na doskonałego technika dziennikarskiego; on był główną sprężyną mechanizmu wydawniczego, gwarancją jego regularności i staranności. Część finansowa i gospodarcza spoczywała w rękach nieodżałowanej pamięci działacza narodowego Łazarowicza.

W tym czasie wrócili do Warszawy Popławski, Dmowski, Balicki. Gdy „Goniec" zawiódł, pomyślano o wielkim dzienniku politycznym. Stronnictwo objęło „Gazetę Polską", a potem nabyło „Gazetę Warszawską". Zwoliński w obu tych dziennikach po kolei zajmował stanowisko sekretarza, pracując za siebie i za redaktorów, zajętych szeroką działalnością polityczną.

W czasie wojny przebywał w Petersburgu i tam gorliwie pracował w organizacjach obywatelskich, niosących pomoc wychodźcom. Powróciwszy do Warszawy, wstąpił do służby państwowej i tutaj na stanowisku naczelnika wydziału polityki przemysłowej w min. Przemysłu i Handlu pozostawał do r. 1934.

Pracował tutaj całą duszą z właściwym sobie poczuciem obowiązku i z głęboką świadomością, że działa dla dobra Polski. Jak świadczą atestacje służbowe, położył tutaj wielkie zasługi w dziedzinie prac nad ustawodawstwem gospodarczym, a w szczególności nad polską taryfą celną oraz organizacją Izb przemysłowo - handlowych. Że go władze ceniły, dowodem krzyż oficerski orderu Odrodzonej Polski.

Od czasu objęcia służby państwowej odsunął się zupełnie od polityki i dziennikarstwa. Nikt z przyjaciół nie dowiedział się od niego, co właściwie robi, tak rygorystycznie pojmował dyskrecję służbową.

Był to człowiek, który na każdej placówce, na każdym szańcu byłby wzorem pracownika, rycerza i obywatela. Ś. p. Zwoliński rodziny nie stworzył, żył samotnie, opiekując się matką, która zmarła na rok przed śmiercią syna.

Ceniliśmy jego wierną przyjaźń osobistą, szlachetność charakteru. Z niezmiernym żalem żegnamy go, dążąc myślą i sercem do mogiły Jego na drogiej nam ziemi wołyńskiej.

Z. W.

DAWNOŚĆ KULTURY POLSKIEJ NA ŚLĄSKU

W 15-tą rocznicę przyłączenia Śląska do Polski wspomnijmy o czasach pradawnych tego kraju. Oto urywek z referatu naukowego prof. uniw. dr. Józefa Kostrzewskiego dla Instytutu Śląskiego.

Red.

NIEDAWNO ukazała się we Wrocławiu książka młodego prehistoryka śląskiego, d-ra Henryka Kurtza, poświęcona wykopaliskom słowiańskim p. t. *„Slavische Bodenfunde in Schlesien"*, wydana nakładem księgarni Priebatscha jako piąty zeszyt pism wrocławskiego *„Osteuropa Institut"*. Książka traktuje więc o znaleziskach polskich okresu wczesnohistorycznego, bo ludem słowiańskim, mieszkającym w zaraniu dziejów na Śląsku, byli—jak wiadomo—Polacy.

Słusznie też niemiecki prehistoryk Oskar Mertins nazwał swego czasu w swej prehistorii Śląska (*Wegweiser durch die Urgeschichte Schlesiens)* ten ostatni okres pradziejów wprost okresem polskim, ale to było dawno temu, w r. 1906, dziś bowiem, w okresie t. zw. odprężenia polsko-niemieckiego prehistorycy niemieccy chętnie ten niemiły dla nich fakt dyplomatycznie przemilczają, operując nazwą kultury słowiańskiej, albo też—co już jest zgoła niepoważnym—próbują przekonywać czytelników, że na Śląsku mieszkali w zaraniu dziejów nie Polacy, lecz jacyś bliżej nieokreśleni Lechici. Pomijając jednak kwestię tytułu książki samo ukazanie się jej powitać należy z uznaniem, bo dotychczas zabytki z okresu wczesnohistorycznego traktowane były na Śląsku po macoszemu.

Przeszło trzecia część książki poświęcona jest omówieniu ceramiki słowiańskiej, wśród której autor wyróżnia 14 odmian. Najstarszą z nich datuje autor na wiek VII, lub początek IX wieku, najmłodszą na wiek XII. To wczesne datowanie starszej ceramiki słowiańskiej jest bardzo cenne, bo jeszcze nie tak dawno prof. Richthofen twierdził, że nie znamy znalezisk słowiańskich z całą pewnością starszych niż z X stulecia po Chr.

Bardzo ważne są wnioski autora, odnoszące się do osadnictwa i gospodarki okresu wczesnohistorycznego. Wbrew opinii innych śląskich prehistoryków stwierdza autor, że co najmniej od środkowej fazy okresu wczesnohistorycznego rolnictwo, a nie polowanie i rybołówstwo, tworzyły podstawę gospodarki żywnościowej Słowian, jak wynika z równomiernego rozłożenia osad polskich w zaraniu dziejów na całym obszarze Śląska z jednym wyjątkiem obszarów górzystych, oraz z licznych znalezisk zboża (żyta. pszenicy, owsa, jęczmienia i prosa) w osadach ówczesnych. O rozwoju i znaczeniu ogrodnictwa świadczą znaleziska ziarn grochu i fasoli, nasion ogórków oraz pestek drzew owocowych, np. różnych gatunków jabłek, gruszek, śliwek, wiśni a nawet brzoskwini, jakie odkryto w Opolu. Hodowano też wszystkie znane dzisiaj zwierzęta domowe ssące, jak konia, krowę, świnię, owcę, kozę, i psa, a poza tym — o czym autor nie wspomina — kury. Bardzo krótkie ustępy poświęca autor osadom otwartym i grodom, o których słusznie mówi, że były stale zamieszkane i nie służyły tylko jako schroniska w czasie najazdów i równie krótko załatwia się z budownictwem domów, stwierdzając, że używano zarówno domów zrębowych jak słupowych. W rozdziale poświęconym przemysłowi i handlowi przeciwstawia się autor mylnym poglądom, jakoby u słowian wczesnohistorycznych wszelkie rzemiosło miało tylko charakter przemysłu domowego i stwierdza, że ponad wszelką wątpliwość istnieli wśród ludności polskiej na Śląsku wykwalifikowani rzemieślnicy. Szczegółowiej zajmuje się przemysłem hutniczym i kowalskim fabrykacją granitowych żarn, wyrabianych na zboczu Sobótk z surowca, wydobywanego w tamtejszych kamieniołomach oraz przemysłem garncarskim. Handel śląski okresu wczesnohistorycznego kierował się — zdaniem autora — głównie na północ ku Bałtykowi i na południe, ku Czechom i Węgrom, natomiast jedynym śladem stosunków z niemieckim zachodem jest — zdaniem autora — miecz z Nasiedla, sprowadzony za pośrednictwem Słowian połabskich.

W zakończeniu autor twierdzi, że poczynając od XIII stulecia słowiańska ludność Śląska stopniowo rozpływa się w wielkiej liczbie osadników niemieckich, napływających do tej dzielnicy i zarazem ginie kultura słowiańska. Jak to twierdzenie pogodzić z faktem, że prawie cały Śląsk Górny, a nawet cząstka Śląska środkowego zachowała do dziś charakter przeważająco polski i to nie tylko w języku, lecz nawet w budownictwie (chaty kościoły drewniane), stroju, obrzędach i wierzeniach ludowych, tego autor nie próbuje tłumaczyć.

Poważnym brakiem książki jest też zupełny brak choćby jednej mapy, przedstawiającej gęstość osadnictwa wczesnohistorycznego na Śląsku, a nawet wspomniany wyżej spis miejscowości obejmuje wyłącznie stanowiska wspomniane w tekście. Mimo tych braków i mimo, że na niektóre poglądy autora nie podobna się zgodzić, wydawnictwo to stanowi jako całość pozycję dodatnią, przede wszystkim dlatego, że autor znacznie obiektywniej potraktował wczesnohistoryczną kulturę polską na Śląsku niż inni współcześni prehistorycy niemieccy. Zgodnie z tezami prehistoryków polskich stwierdził on, że polska ludność Śląska, którą co prawda nazywa tylko ogólnie „słowiańską", w IX, X i XI w. była wybitnie rolnicza, że istnieli na Śląsku na długo przed kolonizacją niemiecką rzemieślnicy-specjaliści, że główne zdobycze cywilizacyjne zawdzięczała ludność śląska wpływom południowym, naddunajskim, natomiast wpływy niemieckie są prawie nieuchwytne. Wymowa faktów jest widocznie tak silna, że nawet bezstronny uczony niemiecki oprzeć jej się nie może. W związku z powyższym stwierdzeniem specjalnego posmaku nabiera jednak fakt, że dr Kurtz, autor omówionej tu książki w okresie ogromnego popytu na prehistoryków w Niemczech, nie może otrzymać stanowiska w swojej specjalności.

JÓZEF KOSTRZEWSKI

NA MARGINESIE

— Dla czego pewna część procesu Doboszyńskiego toczyła się przy drzwiach zamkniętych?

— Dla tego, żeby można było powiedzieć, iż inne części procesu były jawne.

*

— Co ostatecznie zdarzyło się na uroczystym posiedzeniu Akademii Umiejętności?

— Nic nie wiadomo, bo nie było tam sprawozdawcy PAT-a. Wiadomo tylko, że wskutek tego zdarzenia podali się do dymisji Prezes Akademii i Sekretarz Generalny. Jedni utrzymują, jakoby ktoś z gości obraził się, jako sanator, że go nie powołano na członka Akademii. Inni powiadają, że ostatecznym powodem obrazy była aluzja, że gość nie opłacił prenumeraty za Słownik Biograficzny.

— Domyślam się, jestem pewien, że o ten Słownik poszło. Teraz ów pan może być pewien, że po najdłuższym życiu do Słownika się dostanie.

*

W sferach sanacyjnych krąży pogłoska, że Akademia Umiejętności wzięta będzie pod zarząd komisaryczny. Kandydatów nie brak.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**. Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 **PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.**